

Warszawa 2019-06-08

Dr hab. Piotr Nowak, prof. UwB

Recenzja dysertacji Ks. Marka Staniszewskiego „Powojenna marksistowska krytyka religii w Polsce na podstawie głównych czasopism religioznawczych z lat 1957-1991. Studium teologiczno-historyczne”.

Praca ks. Marka Staniszewskiego „Powojenna marksistowska krytyka religii w Polsce na podstawie głównych czasopism religioznawczych z lat 1957-1991. Studium teologiczno-historyczne” składa się z trzech rozdziałów prezentujących stosunek filozofii marksistowskiej do zjawiska religii przede wszystkim na przykładzie kontrybucji marksistowskich filozofów piszących dla takich czasopism jak „Euhemer”, „Człowiek i Światopogląd”, „Zeszyty Argumentów”. Rozdział IV, ostatni, to próba zajęcia stanowiska odautorskiego wobec ateizmu, zarazem miejsce, w którym autor rozprawy dokonuje oceny przedmiotu swych badań. O ile trzy pierwsze rozdziały nie nastroczały większych problemów w lekturze i zostały przygotowane kompetentnie i fachowo pod względem merytorycznym, rozdział ostatni wydaje się z filozoficznego punktu widzenia najbardziej problematyczny, zwłaszcza w świetle deklaracji autora o tym, że zamierza bronić „religii chrześcijańskiej jako Objawionej prawdy” (14)¹. Ale po kolei.

We wstępie autor dysertacji pisze, że o sytuacji filozoficznej i obrazie filozofii w Polsce po drugiej wojnie światowej przesądziły dwa czynniki: (1) filozofia marksizmu i leninizmu oraz ich stalinowska deformacja, a także (2) filozofia analityczna (z naciskiem na tradycję szkoły lwowsko-warszawskiej), fenomenologia oraz neotomizm. Jest to w zasadzie poprawna diagnoza, jednak nie bardzo wiem – czy wie to autor dysertacji? – co mam począć z brakiem w tej „wyliczance” nazwisk takich filozofów jak Stanisław Brzozowski, Władysław Tatarkiewicz, Henryk Elzenberg oraz reprezentanci krakowskiej filozofii politycznej (Maurycy Mann, Julian Klaczko, Stanisław Koźmian, Leon Chrzanowski, Józef Kleczyński, Jan Ludwik Popławski, Jan Tarnowski, Adolf Bocheński, Ignacy Matuszewski, *to name a few*)². O ile można pominąć tych ostatnich, nawisowo dodanych, ponieważ pominęła ich sama

¹ Cyfry w nawiasach to strony dysertacji.

² Jacek Kłockowski (red.), *Geopolityka i niepodległość*

historia, o tyle żaden z trzech wcześniej wymienionych przez ks. mgr. Marka Staniszewskiego filozofów nie zalicza się do wspomnianych przez niego typów tradycji. Tatarkiewicz to kantysta marburski, Elzenberg - *Ding an sich*, Brzozowski zaś to socjalista, który może nie oddziałał na PPR, ale na PPS już z całą pewnością. To nie małe uchybienie w świetle twierdzenia autora dysertacji, iż „w pierwszych latach powojennych 1945-1949 kontynuowany był przedwojenny stan filozofii” (4).

Kolejna krytyczna uwaga pod adresem „Wstępu” polega na machinalnej repetycji Tischnerowskiego *dictum* jakoby „przed wojną filozofia marksistowska nie miała w Polsce ani jednego wybitniejszego przedstawiciela” (5). Twierdzenie to nie jest prawdziwe, wystarczy posłużyć się II tomem *Głównych nurtów marksizmu* Leszka Kołakowskiego, by zidentyfikować takie postaci, jak Ludwik Krzywicki, Kazimierz Kelles-Krauza (o którym autor dysertacji wspomina na s. 87, więc musiał go znać lub chociaż o nim słyszeć³), czy właśnie Stanisław Brzozowski. Ja bym policzył między nich także wybitnego ekonomistę Oskara Langego z uwagi na jego szerokie, humanistyczne wykształcenie (tłumacz *Nauki nowej Vica*).

W kolejnych rozdziałach autor dysertacji poddaje skrupulatnej analizie teksty pojawiające się na łamach „Euhemera”, „Zeszytów Argumentów” oraz „Człowieka i Światopoglądu” będące swego rodzaju historią marksistowskiego ateizmu, scil. „historią marksistowskiej refleksji nad zjawiskiem religii” (6). Nie będę powtarzał tych wszystkich marksistowskich, pseudonaukowych tez, dyrdymałów, bzdur i powiedzonek, gdyż ich jałowość jest ewidentna i dość przygnębiająca, potrafiąca zrazić do siebie nawet osoby odznaczające się krytycznym stosunkiem do religii, a jednak otwarte na pewien typ duchowej wrażliwości. To, co uważam za cenne w rozprawie ks. mgr. Marka Staniszewskiego, to umiejętne pokazanie (choć nigdzie to nie jest wyłożone *explicite*, a dane czytelnikowi jedynie pod postacią mniej lub więcej subtelnych aluzji), że marksiści zwalczali religię, ponieważ odbierali ją jako swoje własne, karykaturalne odbicie. Zwalczali ją tedy jako konkurentkę na polu ideologii i tylko w ten sposób mogli ją pojąć. To, co pisali o niej, znajdowało zastosowanie wyłącznie w odniesieniu do marksizmu, a nie do religii jako takiej. Pod tym względem rekonstrukcja ich argumentów przez ks. mgr. Marka Staniszewskiego jest bezcenna. Przyjrzyjmy się temu.

³ Jeśli nie, polecam inteligentną książkę Timothy Snydera *Nacjonalizm, marksizm i nowoczesna Europa Środkowa. Biografia Kazimierza Kelles-Krauza (1872-1905)*.

Na przykład Andrzej Nowicki uważa „religię za formę ukrywającą treści pozareligijne” (12). Czy Marksizm, zwł. stalinizm nie ukrywa treści „pozafilezoficznych”? Zygmunt Poniatowski odnajduje w religii „doktrynę, kult i organizację” (12). Eureka! Czy doktryna, kult i organizacja są obce marksizmowi? Czy sam marksizm nie jest zeświecczonym pojęciem religijnym? Czy nie stąd właśnie bierze się cała jego złość na swą starszą siostrę, religię? Czy zebranie partyjne nie jest odpowiednikiem mszy świętej, a samokrytyka analogonem sakramentu spowiedzi? Czy prometejskie zbawienie marksistowskimi metodami nie jest wysiłkiem przyspieszenia „paruzji właściwej”? Czy *religio* pochodzące od słowa *religere* („wiązać ze sobą”) nie jest wynaturzonym związkiem ludzi pojedypanych w medium partyjnej lojalności? Ks. mgr. Marek Staniszewski przypomina słowa Marksa z *Przyczynku do krytyki heglowskiej filozofii prawa*, gdzie czytamy, że „człowiek tworzy religię, nie zaś religia – człowieka. Religia jest to mianowicie samowiedza i poczucie samego siebie u człowieka, który siebie bądź jeszcze nie odnalazł, bądź już znowu zagubił” (28). Czy partia bolszewicka zwłaszcza z okresu stalinowskiego nie jest tym, o czym pisze Marks? Czy nie jest organizmem, w którym gubi się człowiek, zanim się znajdzie? Czy nie o tym jest rozpaczliwa powieść Arthura Koestlera *Ciemność w południe*? Jeśli ludźmi rządono za pomocą „opium” (Staniszewski poświęcił „narkotykom” świetne strony, 28-31), czym są rządy sprawowane z użyciem pałki milicyjnej, tortur, wyniszczającej pracy i głodu?

Właściwie we wszystkich tekstach ateistów powtarza się jak mantrę, że „religia jawi się jako relacja człowieka do sfery, która go przerasta; jest to zdeformowane i fantastyczne odbicie rzeczywistości w psychice człowieka, pozwalające w gotowych schematach wierzeń i obrzędów wyjaśnić zjawiska otaczającego świata. Jako zjawisko wtórne, religia jest wyrazem strachu ludzkiego przed nieznanymi, przytłaczającymi człowieka siłami i wydarzeniami” (33). Powtarzam: marksiści bezwiednie mówią tu o sobie i własnych relacjach z myślą marksistowską, własnym strachu przed partią i służbą bezpieczeństwa. Zastępują pojęcia religijne pojęciami własnego chowu. Niektórzy (niejaka Kiczanowa) nawet się z tym nie kryją (156). I jeśli znajduję w pracy ks. mgr. Marka Staniszewskiego liczne powtórzenia marksistowskich enuncjacji, dzieje się tak dlatego, że intelektualne przesłanie ateistów marksistowskich jest nader wątle: oni wciąż zaklinają rzeczywistość przy użyciu tych samych – głupich, nietrakcyjnych, nieskutecznych – słów. I nic nie pomaga im nawet lifting ich wątpliwej urody polegający na wywiedzeniu genealogii ateistów marksistowskich od Darwina, Spencera, Frazera czy od niemieckich XIX-wiecznych subtelnych krytyków religii (Nietzsche, Overbeck, David Friedrich Strauss i inni): cham pozostanie chamem, a jeśli to

cham własny, to boli on jeszcze bardziej. Czy nie za mocno powiedziane? Co w takim razie mam zrobić z tezą głoszącą, że „człowiek jest bezpośrednio istotą przyrodniczą” (52)? Czy to teza naukowa, czy próba obrażenia osób, dla których kategoria duchowości nie jest pusta? I czemu ma służyć tego typu redukcjonizm? Prawdopodobnie indoktrynacji. A więc ten, kto głosi podobne rewelacje, to nie tylko cham, ale na dodatek cham niebezpieczny. Ks. mgr. Marek Staniszewski jest prawdopodobnie osobą lepiej wychowaną od piszącego te słowa, skoro sam tak mocnych epitetów nie używa. W porządku. Dlaczego jednak zmiękcza i usprawiedliwia stanowisko marksistowskie w kwestii różnicy antropologicznej (strony 54-55), tego nie wiem. Mnie jego uwaga o tym, że „filozofia marksistowska, podobnie jak chrześcijańska, przyjmuje również przepaść między człowiekiem a zwierzęciem z tą wszakże poprawką, że przepaść ta nie polega na przerwaniu w punkcie szczytowym materialnego tworzywa natury ludzkiej na rzecz pierwiastka duchowego, ale na przerwaniu ciągu jednych jakości materialnych na rzecz innej jakości” (54), po prostu nie przekonuje. Ks. mgr. Marek Staniszewski cytuje Marka Fritzhandla tłumaczącego, że „jakość ta skupia w sobie „taki zespół cech, który jest nieodłączny od gatunku ludzkiego, występuje we wszystkich historycznych formach przejawiania się życia ludzi, leży u najgłębszych podstaw swoistości ludzkiej” (54). Ale co to znaczy? Dlaczego tą „jakością” może być marksizm, nauka, a nie może nią być religia?

Czy zawsze marksiści, gdy piszą o Bogu, walą kulą w płot? Zawsze! „Diabeł kłamie, nawet wtedy, kiedy mówi prawdę”, mawiał Kołakowski. Przykład: „Radziecki religioznawca zwraca uwagę na rolę obrzędu jako określonego kanału, kierującego i kształtującego ludzkie uczucie. >>W momentach uroczyście radosnych i uroczyście smutnych, ludzie odczuwają nieodpartą potrzebę gromadzenia się i dawania określonego wyrazu żywionym uczuciom [...]. I tu właśnie zachodzi potrzeba ustalonych, trwałych obrzędów, określonych kanałów, którymi mogłyby popłynąć ogarniające człowieka ból czy radość<<” (70). To prawda. Marksisci nie zawsze opowiadają niestworzone historie. Ale nie o nie tutaj chodzi. Trzeba mieć na uwadze, kto mówi, po co to robi oraz jaki obrał kierunek dla swoich rozważań.

„Wizja człowieka jako stwórcy i twórcy siebie oraz otaczającego świata stanowi początek marksistowskich rozważań religioznawczych” (118). Niby widziałem to od zawsze, a jednak dawka tej „mądrości”, jaką zaserwował ks. mgr. Marek Staniszewski, mówiąc kolokwialnie, „powala. Dzięki jego pracy zrozumiałem, jak prymitywnymi obrazami i myślami sycili swój światopogląd „naukowy” filozofowie marksistowscy. Brałem ich za ludzi inteligentnych, ponieważ takich miałem nauczycieli. Wszakże Staniszewski odkrył przede

mną drugą twarz marksistów, twarz oszpeconą bezmyślnością. Owszem, czytałem haniebne *Szkice z filozofii katolickiej* Kołakowskiego, ale uznałem to za, tak bym to nazwał, „wypadek przy pracy” młodego, ambitnego „hunbejwina”. Jego dalszą twórczość uznaję za wystarczający akt ekspiacji, który na zawsze zdjął z Kołakowskiego odium umysłowego cyklopa. A inni? Staniszewski dowiódł, że z tym jest już dużo gorzej.

Oczywiście, wszędzie tam, gdzie pojawia się skomplikowana myśl o „śmierci Boga”, musi pojawić się też nazwisko Nietzschego. To nader niefortunny automatyzm. Filozofia Nietzschego jest bowiem o wiele bardziej złożona, aby hurtem liczyć go między ateistów, przez których Bóg miałby umrzeć („ten zresztą umarł w sercach ludzkich mocą Nietzscheańskiej proklamacji”, 131). I dalej: jeśli autor dysertacji pisze o tym, że frazą *Gott ist tot* posługiwał się także Dostojewski, to lubiłbym wiedzieć, jakie miejsce ma on na myśli. Czy chodzi mu o opis klasycznego, Holbeinowskiego przedstawienia Jezusa ukrzyżowanego, jakie znamy z *Idioty*, czy o inne miejsce? Jakie?

O niesamowitej odkrywczości książki Poppera *Spoleczeństwo otwarte i jego wrogowie* wołałbym w pracy ks. Staniszewskiego nie czytać (164). Popper ma rację jako autor *Logiki odkrycia naukowego* i pojęcia falsyfikacji. Ma ją nawet, o ile znajduje u Marksa, filozofa nowych czasów, pewną dezynwolturę w stawianiu społecznych diagnoz, które następnie wymagały korekty. Nie ma jej wszakże, gdy czyni Platona odpowiedzialnym za obóz koncentracyjny. To drugie jest nonsensem, prezentyzmem, stawianiem stopni moralnych naszym przodkom za nasze własne przewiny. Jest dokładnie taką samą postawą, jaką zajmują marksiści wobec religii.

Nie rozumiem też za bardzo statusu w pracy ks. mgr. Marka Staniszewskiego następującej stwierdzenia: „Polski teolog protestancki, Marcin Hintz, stwierdza, że teologia polityczna to wykorzystanie teologii do wspierania określonych rozstrzygnięć w sferze państw, wykorzystywanie kategorii teologicznych do legitymizowania władzy i jej działań. Specyficzną postacią teologii politycznej jest powstała w Ameryce łacińskiej teologia wyzwolenia” (166). Każdemu, kto bliżej zajmuje się myślą teologa politycznego Carla Schmitta, podobne zdania jawić się będą albo jako niepotrzebne uproszczenie rzeczy względem pracy ks. mgr. Marka Staniszewskiego heterogenicznych, albo jako nieprawdziwe. Społeczna doktryna Kościoła, czy jego zainteresowania tzw. „kwestą socjalną”, co jest domeną zwłaszcza tzw. „teologii wyzwolenia”, to nie jest jeszcze teologia polityczna! Nie jest nią nawet moment refleksji filozofii chrześcijańskiej nad pseudoeschatologicznymi ruchami intelektualnymi i społecznymi, do których należy również marksizm.

Kontrowersyjne jest też zdanie głoszące, że „po dziś dzień marksizm przeżywa poważne trudności z wyjaśnieniem takich fenomenów, jak sens życia, śmierć, cierpienie, ale i zło, dobro, miłość i nienawiść” (168). Akurat z tym marksizm nigdy nie miał większych kłopotów. Z łatwością wyjaśniał genezę tych zjawisk, z tym że takie „łatwe” odpowiedzi mało kogo (poza samymi marksistami) zadowalały. Z całą pewnością nie robił tego przekonująco, nie udało mu się także uniknąć pułapek redukcjonizmu. Na szczęście autor dysertacji wystarczająco dowodnie przedstawił porażkę marksizmu na tym gruncie.

Za ciekawy wątek uważam swego rodzaju „konwersję” samych marksistów, zaznaczoną w tej pracy jedynie marginalnie. A szkoda, ponieważ ruch od krytyki chrześcijaństwa do jego apologii nie był wyłącznie cechą pisarstwa Leszka Kołakowskiego, ale też innych, nierzadko prominentnych myślicieli o korzeniach wybitnie marksistowskich. „Warto tu przytoczyć zgrabną konstatację postmarksisty Zygmunta Baumana, który stwierdza: >>Wojny z Bogiem, gorączkowe poszukiwania dowodu, że Boga nie ma, albo że umarł, pozostawiono marginalnym radykałom. Nowoczesna myśl dopięła wszak jednego: Bóg przestał być potrzebny do rozumienia ludzkich spraw na Ziemi<<. Tak, to prawda, z pewnością konsekwencje marksizmu wyrażają się dziś w relatywizmie wartości, braku pryncypiów, ostatecznej prawdy, poprzez obojętność na sprawę istnienia Boga. W dość radykalny sposób, lecz celnie, sytuację tę opisuje Dariusz Rozwadowski: >>Relatywizm jest poglądem filozoficznym, który stał się rdzeniem politycznej poprawności. To kolejne narzędzie wykorzystywane przez marksistów kulturowych do niszczenia tradycyjnego porządku świata, ponieważ zakłada ono, że prawdy ostateczne nie istnieją, zaś wszystko jest względne i zależy od kontekstu, czasu lub miejsca<< (175).

Równie marginalnie został potraktowany w dysertacji temat ateistycznego potencjału nauki. „Wobec takich [= naukowych – PN] mierników oceny prawdziwości poznania otaczającej człowieka rzeczywistości, Bóg, jak i cały świat nadprzyrodzony, staje się zbędny, bo nieweryfikowalny. Otóż tajemnice świata wyjaśni nam nauka, jeśli nie teraz, to z pewnością w przyszłości” (179). Nieprawda! Nauka nigdy nie wyjaśni „tajemnic świata”. Nauka potrafi jedynie rozwiązywać zagadki, jakie stawia jej człowiek. Lub tak manipulować rzeczywistością oraz własnym stosunkiem do niej, by ewidentne kłamstwa i nadużycia intelektualne brano za naukowe wyjaśnienia (np. psychoanaliza, której „zasługi” na polu walki z religią są porównywalne do krytyki marksistowskiej).

Teraz przejdę do rozdziału stanowiącego wedle deklaracji autora pracy „chrześcijańską ewaluację” ateizmu. Gdy zapoznałem się z następującą diagnozą, zrazu przystałem na nią:

„Otóż człowiek nie osiągnie pełni rozwoju, jeśli pominie się możliwość jego istnienia w wymiarze transcendentnym. Mówiąc wprost, jeśli nie przyjmie się wielkości większej niż on sam. Koncepcja kultury, w której człowiek jest miarą wszechrzeczy, prowadzi do duchowej degradacji, czego byliśmy świadkami, żyjąc w tak zwanym >>bloku wschodnim<<” (182). Potem jednak jałem dociekać, co tu robi „blok wschodni”? Empiryczne potwierdzenie nieodzowności transcendencji dla życia ludzkiego jest, myślę, niepotrzebne. Jedni „blok wschodni” (= PRL) zapamiętali dobrze, dla innych był on deformacją autentycznych treści socjalistycznych. Każda z tych osób gotowa jest godzić swoje własne, „empiryczne” doświadczenie z doświadczeniem transcendencji, jak to bywało z komunistami chodzącymi do kościoła. Dlatego zamiast o „bloku wschodnim” lubiłbym przeczytać w tym miejscu przypowieść o wieży Babel. Biblijny obraz silniej przemawia niż jego wielokrotne uszczegółowienie w postaci kolejnych „bloków wschodnich”.

Również zdanie: „celem tym jest Bóg, jako podnoszący człowieka ku najwyższej godności, godności Bożego podobieństwa” (185) wydało mi się na gruncie rozprawy niepotrzebnym naddatkiem, skoro jej autor nie problematyzuje skomplikowanego tematu analogii⁴.

Podnosi się często cechy zbieżne marksizmu i chrześcijaństwa, wskazując na eschatologiczny potencjał obu doktryn. Wszakże ks. mgr. Marek Staniszewski bardzo inteligentnie ripostuje: „Chrześcijaństwo nie zakłada rewolucji, walki klas i nie ma nic wspólnego z >>Archipelagiem Gułag<<” (186). I jeśli pisze, że „etyka marksistowska wstydliwie unika rozważań nad miłością” (186), jest to prawda. Zapomina jednak dodać, że tym, co marksizm określiło, to nie miłość właśnie, a uznanie, to znaczy walka o nie⁵.

Nie zgadzam się z twierdzeniem, że chrześcijaństwo „z zasady dba o postęp ducha” (188). Dba o jego rozwój, ale nie o postęp. Nie ma postępu w dziedzinie ducha.

Przechodzę teraz do mojego najważniejszego zarzutu pod adresem pracy ks. mgr. Marka Staniszewskiego. Pisze on: „Dla chrześcijan, teistów, to człowiek tworzy społeczeństwo, nie społeczeństwo człowieka. Co oczywiście nie wyklucza wspólnoty, która pojedynczemu człowiekowi gwarantuje rozwój, wolność i godność. Człowiek pozostaje jednak bytem samoistnym, co oznacza, że charakteryzuje go największa moc istnienia. Bowiem nie istnieje w czymś, jak na przykład istnieją jakości ani przy czymś, jak istnieją racje. Człowiek istnieje

⁴ Mieczysław Albert Krąpiec OP, *Teoria analogii bytu*.

⁵ Alexandre Kojève, *Wstęp do wykładów o Heglu*.

w sobie, jest samoistnym podmiotem rozmaitych właściwości, gdzie najważniejszą jest rozum” (192). *Homo religiosus* nie jest i nigdy nie będzie „bytem samoistnym”. Doskonale ujął to Ksiądz Magister w stosownym fragmencie pracy poświęconym etymologii słowa *religio*. Chrześcijanin określa się zawsze przez wspólnotę i w niej. Nigdy nie jest sam. A wtedy, gdy tak się wydaje, jest zawsze z Bogiem. Lub nie ma go wcale. Nie to jednak uderzyło mnie w tym fragmencie najbardziej. Wielce kontrowersyjny fragment dotyczy samorozumienia *homo religiosus*. Czy rzeczywiście ujmuje on własną substancję poprzez rozum, odnajdując w nim koronę stworzenia (tak chcieliby pospołu i kartezjanie, i marksiści, i uczeni psychologowie – imię ich Legion), czy raczej religia jest religią serca i miłosnych odruchów? Co rozum ma wspólnego z Objawieniem (14), Ateny z Jerozolimą, św. Paweł z filozofami na areopagu (Dzieje Apostolskie, 17)? Także zdanie, w którym czytamy, że samorozumienie człowieka oraz stosunki międzyludzkie „wspiera[ją] się na omawianej już tutaj nauce o Trójcy Świętej” jest całkowicie bez pokrycia. Rozważania o Trójcy Świętej nie pojawiają się w pracy ks. mgr. Marka Staniszewskiego ani razu. Mówiąc inaczej, mnie się zdaje, że autor *Powojennej marksistowskiej krytyki religii w Polsce na podstawie głównych czasopism religioznawczych z lat 1957-1991* nie do końca wie, kto napisał tę rozprawę: ksiądz czy filozof.

W pracy ks. mgr. Marka Staniszewskiego odnalazłem sporą ilość literówek, które dość późno zacząłem wynotowywać (strony 85, 99, 121, 122, 163, 166, 167, 168, 171, 181), co wskazuje, że została przygotowana z umiarkowaną dbałością. Także nazwisko Ossowskich dobrze jest zapisywać poprawnie (5) z uwagi na rolę, jaką oboje wielkich uczonych odegrało w polskiej humanistyce. Na stronie 168 filozof ks. mgr. Marek Staniszewski myli „transcendentny” z „transcendentalny”. Nieładnie!

W jego pracy drażni mnie też miejscami jej protokolarny styl, te wszystkie „powyższe” i „niniejszym”. No ale nie każdy doktorant musi umieć pisać. Wystarczy, gdy umie czytać i myśleć, a tego ks. mgr. Markowi Staniszewskiemu nie można odmówić.

Praca „Powojenna marksistowska krytyka religii w Polsce na podstawie głównych czasopism religioznawczych z lat 1957-1991. Studium teologiczno-historyczne” spełnia kryteria stawiane tego rodzaju rozprawom. Wnoszę o dopuszczenie ks. mgr. Marka Staniszewskiego do dalszych etapów przewodu doktorskiego.